

LOUISE BOOTH

Billy

Kot, który ocalił
moje dziecko

Przełożyła Anna Nowak

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału angielskiego
*When Fraser Met Billy: The Rescue Cat that Transformed
a Little Boy's Life*

Copyright: © Louise Booth and Connected Content Ltd, 2014

The right of Louise Booth and Garry Jenkins to be identified
as the Author of the Work has been asserted by her in accordance
with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

© Copyright for the Polish translation by Anna Nowak, Warszawa 2015

Cover photographs © Bruce Adams/Daily Mail/Solo Syndication

*Dla Chrisa, który jest całym moim światem.
Dla Frasera i Pippy – moich gwiazdek z nieba.*

Podpora

Za najlepszego przyjaciela człowieka zwykle uważa się psa. Potrafię to zrozumieć: sama znałam i kochałam wiele psów. Jednak w miarę jak rozwijała się przyjaźń Frasera i Billy'ego, zaczęłam rozumieć, że kotom niesprawiedliwie odmawia się tego tytułu. Z całą pewnością na niego zasługują.

Wystarczyło, żebym weszła do salonu i zobaczyła Frasera z Billym, a docierało do mnie, jakim cudem może być więź między człowiekiem a kotem.

Szczerze mówiąc, aż trudno było w to uwierzyć. Nie spodziewałam się, że przyjaźń Frasera i Billy'ego będzie tak niezwykła. Jasne, wierzyłam, że Billy stanie się dla Frasera towarzyszem zabaw, ale on nie był tylko kimś, z kim można się turlać po dywanie. Wcześniej nic tak nie fascynowało małego. Nawet pralka. Czasami ci dwaj zamykali się w swoim własnym świecie i siedzieli sobie

razem, podczas gdy Fraser mówił coś do kota, często niezrozumiale. Zupełnie jakby mieli tajemny język.

Billy podarował Fraserowi tyle ważnych rzeczy: lojalność, niezmiennosc, wsparcie, zachęte oraz poczucie bezpieczeństwa. Był dla naszego synka prawdziwą – także dosłownie! – podporą.

Wraz z upływem czasu kot stał się również przyjacielem moim i Chrisa. Ja i mąż mieliśmy wrażenie, że zyskaliśmy nowego sojusznika w codziennych zmaganiach. Po przeprowadzce dało nam to więcej pewności siebie i siły. Czułam, że z Billym u boku mogę podjąć wyzwania, które mnie dotąd przerastały.

A były one niezliczone, niekiedy przytłaczające. Jak nauczyć Frasera porządnie chodzić? Jak nakłonić go do korzystania z nocnika? Jak wpoić mu umiejętność posługiwania się nożem i widelcem? Lista ciągnęła się w nieskończoność. Przed przybyciem Billy'ego brakowało mi wiary, by stawić temu wszystkiemu czoło, nie mówiąc już o wierze w zwycięstwo. Teraz to się zmieniło.

Właśnie dlatego wkrótce po historii ze smoczkiem postanowiłam zmierzyć się z innym odwiecznym problemem – czyli ze schodami.

Istniał zresztą ku temu dobry powód, gdyż w ramach fizjoterapii Frasera miał odwiedzić ktoś, kto oceniłby jego zdolności motoryczne. Nasz syn poczynił w tej

dziedzinie ogromne postępy, głównie dzięki Helen i ortezom, które pomagały mu zachować równowagę.

Schody jednak nadal stanowiły wyzwanie, po części dlatego, że Fraser właściwie nigdy wcześniej nie musiał ich pokonywać. Ten dom był pierwszym, w którym pokój naszego synka mieścił się na piętrze. Fraser znalazł dotąd schody tylko z domu rodziców Chrisa. Moi rodzice mieszkali w domu parterowym.

Z tego powodu Fraser albo czołgał się po stopniach, albo był noszony. Niestety z każdym dniem robił się coraz cięższy. Jeśli Chrisa nie było w domu i sama musiałam tachać Frasera do jego sypialni, na górę często docierałam z zadyszką.

Helen już z nami nie pracowała. Pojawiła się nowa fizjoterapeutka, Lindsey. Miała przyjechać w grudniu, mniej więcej dwa tygodnie przed świętami, więc w połowie listopada podjęłam, że tak powiem, konieczne kroki.

Najpierw zamówiliśmy poręczę. Po uzyskaniu zgody zarządcy na wprowadzenie zmian w domu poprosiliśmy o pomoc Mike'a, stolarza zatrudnionego w posiadłości. Mike najpierw zamontował metalową podpórkę przed domem, a potem zrobił świetną poręcz w środku. Była drewniana i pasowała do małych rączek.

Niemal natychmiast zaczęłam namawiać Frasera do korzystania z nowego udogodnienia. W dni kiedy

mały nie szedł do przedszkola, spędzałam na półpiętrze dobre pół godziny. Prowadziło tam jakieś sześć schodków.

– Pokaż, czy potrafisz wejść tu do mnie, przytrzymując się poręczy – mówiłam, na różne sposoby zachęcając i dopingując Frasera.

Nauka nie szła gładko. Czasem Fraser po prostu odmawiał współpracy i nie chciał nawet próbować. W inne dni pokonywał stopień lub dwa, a potem czołgał się na górę. Bywało, że opierał się o ścianę i w pewnym sensie ślizgał pod górę, używając rąk, by odepchnąć się od schodów. Jednak od czasu do czasu podnosił ręce, chwycił mocno poręcz i wspinał się jak należy.

– Brawo, synku – chwaliłam go za każdym razem, gdy to zrobił.

Wiedziałam, że trochę to potrwa i będzie wymagało dużo pracy, ale w końcu nam się uda.

Szybciej poradziliśmy sobie z wysokim betonowym stopniem na zewnątrz. Kiedy wracaliśmy z przedszkola, zakupów albo od lekarza, prosiłam Frasera, żeby wszedł na schodek, trzymając się poręczy. Początkowo mały opierał się o ścianę całym ciałem albo ręką, żeby nie stracić równowagi. Jednak niedługo później korzystanie z poręczy szło mu całkiem dobrze.

Za każdym razem kiedy klaskałam z podziwem, Fraser wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Często-

to szukał wzrokiem Billy'ego, który zawsze kręcił się gdzieś w pobliżu.

– Zobacz, Billy, Fraser wszedł na schodek – mówili mały.

Uprzedziłam go, że wkrótce przyjdzie terapeutka i poprosi, aby powtórzył swój wyczyn. Był więc przygotowany, kiedy pewnego lodowatego grudniowego poranka zjawiała się Lindsey.

Ubrałam go ciepło i wyszliśmy na zewnątrz. Z początku Fraser trzymał się ściany lub mnie, żeby nie stracić równowagi. Jednak kiedy chwycił poręcz, poszło mu znakomicie.

– Świetnie, Fraser – powiedziała Lindsey, gdy z łatwością pokonał schodek.

Mały, uradowany, posłał mi promienny uśmiech.

Schody w domu to była wyższa szkoła jazdy. Kiedy Lindsey poprosiła Frasera, żeby wszedł i zszedł bez korzystania z poręczy, trzymał się kurczowo ściany albo czołgał się pod górę, a potem zjeżdżał w dół na pupie. Raz pokonał dwa stopnie, ale dopiero wtedy, kiedy Lindsey podała mu rękę.

Znacznie łatwiej poszło z poręczą. Fraser zdołał przemierzyć połowę stopni, lewą ręką trzymając się poręczy, prawą zaś opierając na schodku przed sobą. Mimo zachęt Lindsey potem zjechał na pupie.

Terapeutka powiedziała, że po Nowym Roku napisze raport, a w styczniu przyjedzie ponownie, żeby ocenić postępy.

– Jestem pewna, że będą ogromne – stwierdziła.



Święta nadeszły i minęły dosyć szybko, jak zwykle w naszym domu. Z jakiegoś powodu Fraser nigdy szczególnie się nimi nie interesował. W przeciwieństwie do większości dzieciaków, którym w grudniu odbija szajba, zachowywał się zupełnie normalnie.

To miało być nasze czwarte Boże Narodzenie z synkiem i chciałam, żeby w tym roku wyglądało inaczej. Ale gdzie tam. W przedszkolu były jasełka, kolędy i prezenty. Poza tym Fraser poszedł też na specjalne przyjęcie dla dzieci pracowników Balmoral, gdzie (tak samo jak wszyscy) dostał prezent od królowej. Upominek (miś, który śpiewa, kiedy naciśnie się jego brzusek lub łapę) zachwyił go, ale cała reszta była małemu kompletnie obojętna.

Martwiłam się, bo to mi przypomniało, że moje dziecko różni się od swoich rówieśników. Zapewne egoistycznie marzyłam o tym, czym cieszą się inni rodzice: o pakowaniu prezentów, ustawianiu choinki, wieszaniu ozdób, zostawianiu przysmaków dla reniferów

Świętego Mikołaja. My też robiliśmy to wszystko, ale Fraser nie zwracał na nas uwagi. Traktował święta jak każdy inny dzień. Nie przepadał za zmianami.

Oczywiście nie chodziło tylko o niego. Musieliśmy też pomyśleć o Pippie. Naturalnie była jeszcze bardzo mała, ale kupiliśmy jej masę prezentów, a ona wyglądała na zachwyconą choinką i ozdobami.

Pewne wyobrażenie o tym, jak trudne są dla nas święta, daje fakt, że dotąd tylko jedno spędziliśmy w domu – zresztą wyłącznie dlatego, że nas zasypało. Wcześniej jeździliśmy do mamy Chrisa i do moich rodziców. Tym razem słabo nam się robiło na myśl o jedenastogodzinnej podróży z Fraserem do Essex. Zamierzaliśmy spędzić jeden dzień świąt znacznie bliżej domu, z mamą Chrisa, zwłaszcza że nie chciałam rozdzielać Frasera i Billy'ego na długo.

Wiedzieliśmy już, co zrobimy z kotami. Nasi sąsiedzi, Sandy i Cilla, obiecali, że wpadną, nakarmią zwierzęta i sprawdzą, czy wszystko z nimi w porządku. Mieli wnuczka, Murraya, który uwielbiał koty i zamierzał pomagać.

Kiedy rano przygotowywaliśmy się do drogi, Fraser był bardziej przejęty przygotowaniem rzeczy dla Billy'ego niż własnymi prezentami.

Postawił mu jedną miskę na jedzenie, a drugą na wodę. Potem przez dziesięć minut tłumaczył Billy'emu,

że sam jedzie do babci, a do niego zajrzą Sandy, Cilla i Murray.

– Murray się z tobą pobawi – obiecał, głaszcząc kota.

Może się to wydawać nieco przesadne, ponieważ mieliśmy wrócić wieczorem tego samego dnia, ale warto było pozwolić Fraserowi na pożegnanie – dzięki temu przestał się denerwować. Nie martwił się o Billy’ego w czasie podróży ani po przyjeździe do mamy Chrisa. Wiedział dokładnie, co Billy będzie robił i kto go odwiedzi, więc był spokojny.

Odetchnęłam z ulgą.



Po sylwestrze i szkockim święcie Hogmanay wszystko wróciło na stare tory, a ja nadal próbowałam uczyć Frasera chodzenia po schodach. Zmieniło się tylko jedno – niespodziewanie zyskałam asystenta.

Pewnego ranka na początku stycznia zauważyłam, że Billy ułożył się na półpiętrze, w tym samym miejscu, w którym parę godzin wcześniej zachęcałam Frasera do wspinaczki.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby tam siedział. Jeśli już szedł na górę, ucinał sobie drzemkę w pokoju Frasera, a najczęściej spędzał czas w pomieszczeniu go-

spodarczym lub w salonie. Początkowo nie przywiązywałam do tego zdarzenia szczególnej wagi.

Następnego dnia, robiąc coś w kuchni, usłyszałam, jak Fraser woła do kota:

– Poczekaj, Billy, poczekaj!

Wysłam na korytarz i zobaczyłam, że Billy siedzi na półpiętrze i spogląda sześć stopni niżej. Fraser stał na drugim schodku i powoli zbliżał się do przyjaciela. Wymagało to od niego znacznego wysiłku, a kiedy już dotarł na półpiętro, westchnął ciężko, jakby był kompletnie wykończony. Potem położył się obok Billy'ego.

I znowu nie wydało mi się to znaczące. Pomyślałam tylko, że słodko razem wyglądają. Kiedy sytuacja zaczęła się powtarzać, uznałam ją za nową zabawę. Nawet gdy zauważyłam, że muszę częściej odkurzać wykładzinę na półpiętrze, bo jest na niej więcej sierści, nie rozumiałam jeszcze, co właściwie jest grane.

Dopiero kiedy zobaczyłam ich ponownie pewnego wieczoru, wszystko stało się jasne.

Trochę wcześniej znów ćwiczyłam z Fraserem, który tego akurat dnia był nieco mniej skłonny do współpracy. Owszem, pokonał parę schodków, trzymając się poręczy, ale zaraz potem zaczynał się czołgać. I nawet nie próbował schodzić na własnych nogach. Wiedziałam, że nic nie zwojuję, więc wkrótce się poddałam. Czasem nie ma sensu zmuszać Fräsera do czegokolwiek.

Teraz jednak Billy usadowił się na schodach, w połowie drogi na półpiętro. Fraser zaczął wdrapywać się za nim i był już bardzo blisko, ale wtedy Billy zaczął iść pod górę. Tyłem.

– Billy, poczekaj – powiedział Fraser, przyspieszając nieco. – Poczekaj.

Kiedy mały dotarł na półpiętro, kot znieruchomiał. Przytulił pyszczek do piersi przyjaciela i zaczął się z nim bawić.

– Dobry Boże – powiedziałam na głos.

Nagle mnie olśniło. Billy wyraźnie dawał Fraserowi do zrozumienia, że jeśli ten chce się z nim bawić, musi wejść po schodach. Co więcej, zachęcał tak skutecznie, że Fraser wspiął się najszybciej, jak potrafił. Nigdy wcześniej nie widziałam, by przemierzał schody z podobnym zapałem.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Byłam oszołomiona. Billy musiał zauważyć, jak dopinguję synka, i postanowił zrobić to samo. Ale przecież to niemożliwe. To jakieś szaleństwo. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie popadam w obłąd.

„Daj spokój, Louise” – mówiłam sobie rozgorączkowana.

Oczywiście kiedy wieczorem opowiedziałam o wszystkim Chrisowi, mąż uznał, że przez całe popołudnie tankowałam dzin. Sam uwielbiał Billy’ego i do znudze-

nia opowiadał innym, jak fantastycznie nasz kot wpływa na atmosferę w domu, ale niczego więcej nie potrafił zaakceptować. To było dla niego zbyt naciągane.

Chciałam, żeby Billy powtórzył swoją sztukę, ale, zgodnie z prawem Murphy’ego, mogłam o tym zapomnieć. Billy i Fraser nie dali ani jednego popisu, gdy Chris był w domu. W ciągu dnia za to niestrudzenie trenowali na półpiętrze: Billy wchodził powolutku tyłem, a Fraser podążał za nim. Było to bardzo frustrujące, przyszło mi nawet do głowy, że mogłabym sfilmować taką sesję i przedstawić przekonujący dowód Chrisowi.

Wiedziałam, co się dzieje. Wiedziałam też, co to oznacza.



Na początku stycznia otrzymaliśmy kopię raportu napisanego przez Lindsey po grudniowej wizycie. Sprawozdanie wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewałam. „Fraser całym ciężarem opierał się o ścianę i często wolał czołgać się po schodach”. „Zjeżdżał na pupie, choć z pomocą terapeutki pokonał dwa ostatnie stopnie”.

Nie przejęłam się. Oczywiście szanowałam opinię Lindsey, ale jej raport był przeterminowany. Od tamtego czasu zaszło wiele zmian.

Teraz Fraser umiał już swobodnie wchodzić na piętro i schodzić. Zwykle musiał opierać się na poręczy, ale nie stanowiło to żadnego problemu. Przecież po to właśnie ją zamontowaliśmy. A co najważniejsze: pokonaliśmy przeszkodę, nasz syn czegoś się nauczył i wszystko przebiegło bez dramatycznych scen.

Niewiarygodne. Jeszcze rok wcześniej Fraser wpadłby w niepomamowaną wściekłość, na każdą wzmiankę o schodach dostawałby szału. Wymiotowałby ze złości. Tymczasem najgorszą reakcją, z jaką spotkałam się w ciągu minionych tygodni, była odrobina uporów i przekory. W dziesięciostopniowej skali Frasera – dwójka, najwyżej trójka. Innymi słowy – bułka z masłem.

Kiedy miesiąc później Lindsey odwiedziła nas ponownie, nie mogła się napatrzeć na Frasera wchodzącego i schodzącego z ręką na poręcz.

– Kurczę, ale zrobił postępy, prawda, Louise? – powiedziała.

Obie zauważyłyśmy, że Billy obserwuje nas z piętra.

– Co on tam robi? Zapewnia wsparcie moralne? – Lindsey się zaśmiała.

Mogłam jej to i owo wyjaśnić, ale ugryzłam się w język.

Uśmiechnęłam się tylko i pokręciłam w zamyśleniu głową.

– Kto wie? – powiedziałam. – Kto wie?

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 022 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.*

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*
Korekta *Krystyna Lesińska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12823-2

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków